

## **Schwytany nocą 13 Grudnia.**

Trzynastego grudnia 1981 roku po północy odprowadzałem do taksówki znajomą. Na klatce schodowej spotkaliśmy dwu milicjantów i cywila z czymś jak zakrzywiony kij w ręku. Później powiedziano mi, że to był łom do wyłamywania drzwi. Kiedy się mieliśmy minąć ten z "kijem" zapytał; "czy to pan Waldemar Kuczyński". Gdy potwierdziłem dwaj "mile", jak się na nich mawiało, chwycili mnie mocno pod pachy, a "kijowy" ostrzegł bym nie stawiał oporu. Znajoma próbowała protestować, po czym pobiegła zawiadomić żonę. Ja nie mogłem wydobyć głosu, od razu wiedziałem, że to nie incydent, lecz uderzenie w "Solidarność", by ją zniszczyć. "Gdy milicjanci chwycili mnie pod ręce - napisałem trochę później odtwarzając ten szok - odczułem z dotkliwą wyrazistością, że czas przełamuje się na dwoje, że za tym, co jeszcze przed sekundą było teraźniejszością i wydawało się być przyszłością nie tylko moją, lecz całego kraju, zatrzasnęła się kratka zamykająca powrót a otwierająca rzeczywistość, nacechowaną murami, drutami, kajdankami, strażnikami, ubowcami". Minęło prawie ćwierć wieku i te milicyjne ręce czuję i co pewien czas śni mi się, że znów mnie chwytają, bo nadal ktoś chce odwrócić czas i przywrócić PRL.

Polska Ludowa tkwi we mnie ciągle, jako wielki strach.

Stan wojenny był niewątpliwym złem, a dla tych którzy zginęli i dla ich rodzin tragedią. Ale to nie wyczerpuje problemu jego oceny. Od 13 grudnia do dziś toczą się i jeszcze bardzo, bardzo długo toczyć się będą spory, czy stan wojenny uprzedził uderzenie ZSRR na Polskę, czy był atakiem na "Solidarność", w sytuacji, gdy Polsce nic z tamtej strony nie groziło. Ja, i to nie od teraz sędzę, powiem więcej, jestem przekonany, że generał Jaruzelski uprzedził interwencję, ale oczywiście tego nie wiem. Podobnie, jak nie wiedzą ci, którzy uważają, że nic nam nie groziło, a stan wojenny był niesprowokowaną agresją komunistów, by pozbawić naród odzyskiwanej wolności i przywrócić dyktaturę partii. Nie wiemy ani jednego ani drugiego i być może nigdy się nie dowiemy. Nie wiemy, czy ogromna i kosztowna struktura wojskowa do napadu na Polskę zbudowana szybko wokół wszystkich naszych granic byłaby puszczona w ruch. I nie wiemy, czy wzmianki w jakichś stenogramach, że "nie wejdziemy", to było ewangeliczne słowo na każdą ewentualność, czy opinia chwili tyle warta co papier na którym się znalazła.

Przez 16 miesięcy, jako doradca MKS i Komisji Krajowej, a potem zastępca redaktora naczelnego "Tygodnika Solidarność" i

publicyście wojowałem, jak mogłem o "Solidarnościową" sprawę nie wierząc przez moment, że ogromny wolnościowy i niepodległościowy ruch i państwo oparte na zasadzie dyktatury jednej partii mogą współistnieć. Dynamika, którą uruchomił Sierpień prowadziła nieuchronnie do walki o obalenie ustroju komunistycznego. Rewolucja solidarnościowa nie była rewolucją "samoograniczającą się", lecz co najwyżej ograniczaną, i to coraz mniej skutecznie, przez część środowisk związanych ze Związkiem, a świadomych ryzyka katastrofy. Różne deklaracje o samoograniczaniu, jakie wtedy padały nie miały znaczenia w konfrontacji z ciężeniem wielkich procesów społecznych, które do starcia pchały. "Solidarność" powstała w skutek i w toku bardzo zaawansowanego kryzysu gospodarczego wywołanego przez politykę ekipy gierkowskiej, drastycznie ten kryzys pogłębiła i jednocześnie zablokowała, jakiegokolwiek możliwości wyjścia z niego. To nie był ani wyraz złej woli działaczy związkowych, choć było немало takich, ani wyraz ich ślepoty, choć ślepych też nie brakowało. To był skutek tragicznego zderzenia się z realiami ekonomii żądań wielkich rzesz ludzkich, by natychmiast zatrzymać pogarszanie się warunków życia, bo po to powstali, i by bez zwłoki następowała ich poprawa. Te żądania były zrozumiałe i niszczycielskie zarazem, bo aby

z kryzysu wyjść trzeba było pasa jeszcze bardziej zacisnąć. Tymczasem podwyżki płac i różnych świadczeń wlały na rynek, już pełen pieniędzy bez pokrycia dodatkową ich masę, w sytuacji gdy wytwórczość spadała. Wprowadzenie wszystkich wolnych sobót w górnictwie zmasakrowało eksport węgla, jedyne wtedy źródło dopływu dewiz na import produkcyjny, przez co gospodarka obniżająca lot zaczęła pikować. Powstanie wielkiego ruchu społecznego zablokowało, wręcz zabetonowało możliwość podwyżek cen, jedyne instrumentu, który mógł zapobiec dewastacji rynku. Rosnący, w stosunku do podaży, nadmiar pieniędzy powodował, że przed sklepami powstały kolejki, chyba nawet większe, jak w latach planu 6-letniego, a towar znikał po godzinie, dwóch. Wychodzący z pracy po południu zastawali puste półki, ewentualnie z octem i musztardą. Rodził się strach przed głodem, strach o egzystencję. Związek zawodowy, który miał być skutecznym sposobem na nieszczęścia PRL okazał się bezsilny. Ruch rozpoczął więc brać sprawy produkcji w swoje ręce, tworzyć samorządy pracownicze i wywalać komunistów z fabryk. Ale to też nie przynosiło poprawy. Od wielomilionowej bazy związkowej szedł głuchy zew do "Solidarnościowej" góry, zróbcie coś z tym zaopatrzeniem! Diagnoza i remedium były proste - pieniędzy w stosunku do podaży jest za dużo i

trzeba część z nich usunąć przez bardzo wysoką podwyżkę cen. Ale gdyby kierownictwo "Solidarności" wyszło z taką propozycją, lub się na nią zgodziło, zostało by zmiecione i zastąpione przez radykalnych demagogów, których w Związku było co niemiara. Za remedium uznano więc kartki, ale przydziały wyciśnięte na władzy okazały się za wysokie i latem 1981 zabrakło ich pełnego pokrycia. Strach przed głodem rósł i wyraził się falą marszów głodowych. Zróbcie coś z tym, szło jeszcze mocniej z dołu. Skoro nie pomogły strajki, samorzady i kartki to odpowiedź nasuwała się prosta, trzeba wziąć w swoje ręce nie tylko sprawy w fabrykach, ale w całej gospodarce. Przez kontrolę żywności, bo "komuniści na pewno ją chowają, żeby zagłodzić naród", i przez poddanie gospodarki społecznej kontroli żeby zastąpić nieudolne w walce z kryzysem władze. Tak krok po kroku narastająca katastrofa gospodarcza, na którą przy klinczu władzy i ruchu nie było sposobu, pchała "Solidarność" do nieuniknionej walki o przejęcie władzy w państwie i obalenie komuny. U progu stanu wojennego wykluta już była koncepcja Społecznej Rady Gospodarki Narodowej i wykluwała się koncepcja wolnych wyborów do Sejmu. Starcie było nie do uniknięcia i to raczej szybkie starcie, zważywszy tempo dorastania ruchu do fazy politycznej w poprzednich miesiącach. Fakty

przemawiają za takim ciągiem dalszym, a nie za opiniami, że można było dojść do jakiegoś porozumienia, które by zachowało realną kierowniczą rolę partii w państwie i niezależność "Solidarności". Komuna musiała upaść, albo rewolucja przegrać. Trzeciego wyjścia nie było. Stan wojenny na osiem lat alternatywę rozstrzygnął; ustrój ocalał, rewolucja przegrała.

Pytanie, czy mogła wygrać i obalić komunę, gdyby nie było stanu wojennego. Inaczej mówiąc, czy rok 1989 mógł się zdarzyć w Polsce powiedzmy w roku 1982? Jestem pewien, że nie mógł się zdarzyć. W roku 1981 imperium sowieckie było u szczytu potęgi, tuż po połknięciu Afganistanu i jeszcze przed świadomością, że utkwiał im w gardle. Ale i później tamto zaangażowanie nie przeszkodziłoby skutecznemu napadowi na Polskę, bo Afganów poskramiało 5 % radzieckiego potencjału wojskowego. Ekipa Breżniewa, Czernienki, Ustinowa, Andropowa nastawiona była na zdobywanie, nie na oddawanie, a podział świata ukształtowany po II wojnie światowej interpretowali w jeden tylko sposób; co nasze to nasze, a co do reszty to zobaczymy. Posiadanie w pierwszym rządzie Polski, było warunkiem stabilizacji europejskiego kawałka tego porządku i bylibyśmy ostatnim krajem, który by oddała Rosja tamtego czasu, gdyby do oddawania została

zmuszona. Ale kto miał by ją zmusić? Europa Zachodnia, w której zmarszczenie brwi przez Breżniewa wyprowadzało na ulice tysiące pacyfistów krzyczących lepiej być czerwonym niż martwym? Rządy zaś wyglądały dnia, gdy wreszcie ktoś zaprowadzi w Warszawie porządek, by Polski kocioł nie wstrząsnął kontynentem. I najlepiej, żeby to zrobił generał Jaruzelski, bo wtedy nawet za głośno protestować nie będzie trzeba, a i dla Polaków będzie lepiej. I w tym ostatnim mieli rację. Jest oczywiste, że Rosjanie nie palili się do interwencji. Ich strategia, łącznie z gadaniem tu i ówdzie, że nie wejdziemy, nie pomożemy Wam, nastawiona była na zmuszenie Polskich władz, by zrobiły to same. Ale jeśli nie zrobicie , a będzie się "usłużniało, to wajdiom", jak ostrzegał Kanię Breżniew, a się "usłużniało", więc w końcu by weszli. I gdyby Jaruzelskiemu się nie udało, też by weszli. Bo upadek komunizmu w Polsce oznaczał początek upadku w całej Europie Centralnej i bezprecedensowy, najpotężniejszy cios w imperialny status i super mocarstwową pozycję ZSRR, która od 1945 roku tylko się wzmacniała. Czy by się z takim ciosem pogodzili? Na to pytanie trzeba odpowiedzieć rozważając problem możliwej interwencji. Musieliby być pozbawieni rozumu, gdyby wymierzili samobójczy cios dziełu Lenina, Stalina i sobie

samym, mając wszystkie możliwości niedopuszczenia do tego i pewność, że w obronie Polski ten i ów poruszy może duży palec w bucie i nic więcej. Ktoś powie, a Gorbaczow? Gorbaczow oddał Europę Centralną w toku dramatycznie narosłego kryzysu imperium, w stanie nie tyle bezsiły, co paraliżu politycznego. Ten kryzys nadszedłby i bez niego, ale on go uruchomił, przyspieszył i rozkręcił próbą naprawy struktury utworzonej po rewolucji październikowej. Porażony przez kryzys Związek Radziecki roku 1989 i pełen zadufania w swą potęgę ZSRR Breżniewa to dwa zupełnie inne światy. Rok 1989 to była Rosja w chwili zamętu wewnętrznego, tak jak w roku 1918. Bez tego zamętu byśmy się od niej nie uwolnili, ani 87, ani 16 lat temu.

Kiedy patrzy się na postępowanie władz polskich w tamtym czasie, któremu można wiele, wiele zarzucić, to widać, że i one do rozwiązania siłowego się nie pały. Długo liczone, że da się Związek obezwładnić pokojowo i wcisnąć w trochę przemodelowane struktury ustroju. Oczywiście to było niemożliwe. Przygotowania do uderzenia zaczęto wkrótce po podpisaniu porozumień sierpniowych. Wniosek o moje internowanie ma datę zatwierdzenia 31 styczeń 1981 rok, prawie na rok przed 13 grudnia, a sporządzony musiał być sporo wcześniej. Każda władza skonfrontowana z takim ruchem robiłaby to samo, co nie



znaczy, że zarazem podjęta została decyzja o rozprawie siłą. Przygotowania do stanu wojennego były napewno ważnym argumentem w grze polskich władz z Rosjanami. Uwiarygodniały ich zapewnienia, że poradzą sobie sami i być może pomogły zatrzymać maszynę interwencyjną w grudniu 1980 roku gdy, wedle dość zgodnej tutaj opinii, interwencja była o krok. Potem jej groźba się oddaliła, ale przecież nie dlatego, że w świetle ocen radzieckich sytuacja w Polsce uległa poprawie, czy dlatego, że postanowili odpisać Polskę na straty. Przeciwnie do końca oceniali, że sytuacja się pogarsza, a Polscy nie zostawiają. Oddaliła się, bo zaczęto w Moskwie nabierać wiary w wolę i możliwości władz warszawskich do załatwienia sprawy bez bratniej pomocy. Lata 1980 - 1981 nazwałem kiedyś płomieniem, który wybuchł na bagnach, dramatem narodu rozbudzonego do wolności i niepodległości we wnętrzu imperium u szczytu potęgi. Ten płomień nie miał szansy. Za tą opinią przemawia zdecydowana większość faktów z całej powojennej historii Europy i z tamtego burzliwego dwulecia. Ale dowodu murowanego, na kształt matematycznego nie ma i nigdy nie będzie, podobnie jak przy wielu innych kontrowersyjnych do dziś wydarzeniach historycznych, gdy decyzja zapada w ostatecznej chwili. Nie ma także i nie będzie dowodu na rzecz tezy, że mogliśmy być

wolni w roku 1982, co chce na sali sądowej udowodnić też pewna głośna rozgłosu prokurator z Katowic. Dla jednych generał Wojciech Jaruzelski będzie złoczyńcą, który zamknął Polaków za kraty jeszcze na osiem lat, choć mogli być wolni. Dla innych, a jak wskazują sondaże jest ich nadal duża większość, będzie - niezależnie od tego, jakie kierowały nim motywy - tym, który uchronił Polaków od dramatu większego niż był stan wojenny. Ja schwytany nocą 13 Grudnia, należę do tej grupy.

**(Rzeczpospolita 18.12.2005 r.)**